Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Na kurach

Fot. Konstanty Komierowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 39 (694)

24 WRZEŚNIA 1932 R.

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć, że czas już odnowić prenumeratę na IV kwartał lub miesiąc październik.

Zawiadamiamy jednocześnie, że numery reklamowane (z powodu nieotrzymania) wysyłać będziemy przy ekspedycji najbliższego numeru po otrzymaniu reklamacji.



Z okolic Cisny w czasie rykowiska. Fot. inż. K. Weiss.

GĘSI CIĄGNĄ.

Jestem na pokładzie niewielkiego barkasa, takiego mianowicie, który może pływać nie tylko po głębokich wodach głównego koryta Wołgi. Statek mój każdej chwili zawiezie mnie między te niezliczone ostrowia i wysepki, utworzone przez odnogi rzeki, na spokojne, wody rozmaitych starzyc, niezliczonych naturalnych kanałów, „wołożek", cichych zatok i tych różnorodnych zakamarków wodnych, które tworzą tu istny labirynt nietkniętej prawie ludzką ręką, dzikiej, dziewiczej przyrody.

Człowiek zagląda tu rzadko. Tu i owdzie tylko, w czasie sianokosów słychać brzęk kos, a wieczorem smutne, jak dusza tutejszego ludu, pieśni, szeroko rozlewające się po cichych wodach.

Gdzieindziej jedynie rybak zagląda, a są miejsca, gdzie nie zagląda nikt, chyba szukający schronienia przed prawem zły człowiek, lub przyrodnik, którego wabi tu dziewicza przyroda i jej niezbadane tajemnice.

Październik. Ostrowia stoją w całej krasie swej jesiennej szaty. Purpurowe liście wiązów i buków. Jesienny koloryt dębów, brzóz i topoli. Przepych barw i smutek życia, które właśnie się kończy.

Pożółkłe na odcień złota liście topoli, odrywają się raz wraz i lekko kołysząc się w powietrzu, powoli opadają ku ziemi. Długie srebrzyste nitki babiego lata osnuły misterną przędzą zarośla. Z lekkim, zaledwie dającym się odczuć wiaterkiem, puszczają się na nich w podróż maleńkie pajączki.

Na różnobarwnym kobiercu siedzą niedostrzegalne słonki i ogromnemi, czarnemi oczyma śledzą przechodzącego myśliwca, nim bliski poszum deptanych liści nie zmusi ich do lotu.

W taki właśnie dzień, od północnej strony zarysuje się na błękicie nieba chybotliwy klucz i z donośnym, dźwięcznym okrzykiem opadnie na wołżańskie piaski pierwsze stado gęsi.

Za tem pierwszem, nie zwlekając, nadciągną następne, a za kilka dni cała dolina rzeki i stepy okoliczne, przepełnione są już szumem i pogwarem przybyłych zdaleka gości.

Barkas płynie powoli wzdłuż brzegów ogromnego ostrowia. Słońce chyli się ku zachodowi. Wpływamy do niewielkiej zatoki. Zazgrzytał łańcuch kotwicy, rzucono trap i za chwilę jestem już na wyspie. Mieszany stubarwny las porasta wysoki brzeg wydłużoną „grzywą", mającą kilka kilometrów długości, a zaledwie kilkanaście lub kilkadziesiąt kroków szerokości.

Przecinam grzywę wpoprzek, mijam leżącą za nią łąkę i zagłębiam się w „talnik", w tajemniczy zwarty gąszcz wikliny, dochodzącej do wysokości trzech metrów i więcej. Droga tu trudna i uciążliwa, ale przebyć ją trzeba, by dostać się do skrytego gdzieś w środku jeziora. Stąpam po podłożu miękkiem, ilastem miejscami popękanem od suszy, to znów zupełnie wilgotnem, tak, że nogi mi się ślizgają i grzęzną powyżej kostek. Teraz to fraszka, lecz w początkach lata, gdy wezbrane wody Wołgi opadną, a zalewają one „talnik" całkowicie, grzęźnie się tu w ile niekiedy po kolana, a niezliczone roje komarów i kąśliwych much bronią przejścia tak skutecznie, że przebycie takiej drogi wymaga iście heroicznych wysiłków.

To też na takich, głęboko ukrytych jeziorach, zmieniają swój strój po wiosennych godach kaczory, zbierają się na limanie gęgawy, przez całe lato kryje się tu przed człowiekiem wszelkie ptactwo wodne.

Wreszcie błyska przedemną spokojne zwierciadło wody. Obramowane dokoła zwartą ścianą zarośli, wygląda dziwnie martwo i tajemniczo. Ciemna toń, a dokoła szaro-zielone wikliny — w takie dwie smutne barwy zaklęte jezioro.

Dzień ma się ku schyłkowi; do zachodu słońca pozostało nie więcej nad pół godziny. Cisza zupełna i spokój.

Tem wyraźniej wpada nagle w ucho, płynący gdzieś z oddali, dźwięczny odzew lecącej gęsi. Za chwilę słychać go bliżej... jeszcze bliżej i oto na wieczornem niebie widnieje już sylwetka ptaka. To pierwszy rekonesans, zapewne stary, wytrawny, obeznany ze wszystkiemi możliwemi niebezpieczeństwami gęsior.

Leci na wysokości przeszło stu metrów. Zatacza nad jeziorem koło, jedno, drugie, dziesiąte. Krąży, wydając od czasu do czasu swój donośny okrzyk. Zniża się nieco, lecz zawsze poza donioslością strzału przelatuje kilkakrotnie wzdłuż linji brzeżnej. Zbity, nieprzenikniony gąszcz wiklin niepokoi go widocznie.

W pewnej chwili oddala się i niknie mi z oczu, okrzyki jego słyszę jednak wciąż wyraźnie. Zapewne lustruje okolice. Znów wraca, znów krąży nad jeziorem. Wreszcie odlatuje. Wraca w stepy. Głos jego słabnie a wkrótce nie mogę go już uchwycić zupełnie.

Nad jeziorem zalega znów cisza. Nie trwa jednak zbyt długo. Bo oto po kilku minutach nowe okrzyki. Tym razem lecą dwa ptaki. Okrążywszy kilkakrotnie jezioro, składają skrzydła na wysokości kilkudziesięciu metrów i jak kule padają na środek toni. Bryznęła na boki woda pod uderzeniem ciężkich ciał; powoli rozchodzą się dokoła i biegną ku brzegowi falujące zmarszczki.

Jezioro ożyło. Zagęgały do siebie cichutko dwa ptaki, poprawiły pióra, strzepnęły skrzydłami i piją. Właśnie słońce zachodzi i na powierzchnię wody pada mrok. Dwie gęsi płyną wzdłuż brzegu. Czyżby miały zamiar całe jezioro dokoła opłynąć? Jezioro jest jednak zbyt duże, a czas ucieka...

Więc nagle z donośnym okrzykiem zrywają się do lotu i, wciąż w oddali od niebezpiecznych, bo niezbadanych brzegów, powoli wznoszą się w górę. Jedna zatacza jeszcze kilka kręgów nad brzegami, druga wznosi się coraz wyzej i wyżej i coraz szerzej rozchodzą się w przestrzeni jej okrzyki. Nie śpiesząc się, odlatują obydwie tam, skąd przybyły.

Lecz zanim zmilkły ich nawoływania, od strony stepu wpada mi w ucho dziwny głos. Głuchy szmer, który wzmaga się z każdą chwilą i przechodzi wreszcie w potężny poszum, coś jakby wicher w oddali huczał w konarach drzew. Czy burza idzie? Nie, to ze swych żerowisk podniosły się gęsi. Lecą na nocleg. Oto można już odróżnić okrzyki, wydawane przez setki i tysiące gardzieli od szumu skrzydeł, a za chwilę znów wszystko zlewa się w tak potężny hałas, że krzyknąwszy głośno — sam siebie nie słyszę.

Pierwsze z kilkunastu sztuk, stanowiących jakby awangardę — niekiedy takowa zjawia się na kilka minut przed głowną armją — zanim opadną, zataczają kręgi. Następne padają na wodę bez żadnych przygotowań. Wszystkie jednak starannie unikają brzegu. Każda zatrzymuje się nad środkiem jeziora, tu zwija skrzydła i całą siłą swego ciężkiego ciała pada na wodę. Rzadko która, a przynajmniej wówczas, gdy jest jeszcze dość widno, przeleci nad brzegiem na donioslość strzału. Zresztą gdy główna masa siadać zaczyna, ciemno już jest zupełnie. Słychać tylko gdzieś w górze nad głową, niesamowity hałas tysięcy ptaków, a z wody dochodzi stale plusk ciał, nieustannie bijących o wodę. Rzekłbyś, że nad jeziorem z mrokiem nocy zjawił się jakichś potwornych rozmiarów olbrzym i rzuca w nie kamieniami.

Wreszcie nastaje na jeziorze względny spokój. Zapadła już noc. Ptaki układają się do snu. Słychać tylko dyskretne, ciche pogęgiwanie i stopniowo coraz mniej ptaków się odzywa. Rzadko kiedy jednak jezioro milknie zupełnie. Ciągle to tu, to tam słychać jakieś rozhowory i monologi pojedyńczych ptaków. Czasem ciszę nocy przerywa nagle ostry, donośny krzyk ostrzegawczy, któremu natychmiast odpowiadają setki innych.. Zrywa się hałas straszliwy. Dochodzą jakieś pluski, bicie skrzydeł o wodę — co w nocy robi dziwnie tajemnicze wrażenie — poczem powoli wraca spokój. Nie na długo jednak, bo alarmów takich, najczęściej fałszywych, jest w ciągu nocy cały szereg. Jest ich zaś tem więcej, im większe jest jezioro, a co zatem idzie — im więcej ptaków na niem nocuje.

Płochliwość i ostrożność gęsi jest zadziwiająca i nie znam ptaków, które mogłyby im pod tym względem dorównać. Nocując na jeziorach, trzymają się zawsze pośrodku i nigdy nie siada ich tu tyle, by nadmiar musiał się zbliżyć do brzegu. Mam wrażenie, że na lądzie nie nocują nigdy, natomiast, najniezawodniej w braku wód stojących, nocują niekiedy na wodzie bieżącej, co miałem sposobność dokładnie zaobserwować.

W jesienną noc szedłem brzegiem jednej z odnóg Wołgi, mającej szerokości nie więcej nad 200—300 metrów. Noc była pogodna, księżycowa, górą wiał jednak silny wiatr i pędził po niebie poszarpane obłoki, tak, że światło zmieniało się co chwila. To księżyc wyglądał z za chmur i widno było zupełnie, to znów ściemniało się mniej lub więcej, w zależności od tego, jak gruba nasunęła się chmura.

Woda w najgłębszej „wołożce" płynęła wolno, w pewnem miejscu napotykała łachę piaszczystą i od niej prawie pod prostym kątem zawracała, czyniąc silny zakręt.

Nagle usłyszałem charakterystyczne pogęgiwania nocujących na wodzie gęsi. Zdziwiło mię to bardzo, gdyż wiedziałem, że żadnego jeziora w pobliżu niema, nie myślałem zaś do tej chwili, by tak ostrożne ptaki, jak gęsi, mogły nocować na prądzie, który wszak może je znieść na jakieś niebezpieczne miejsce.

To ostatnie, z tego co wiedziałem o konfiguracji terenu w tem miejscu, powinno było teraz właśnie nastąpić. Ponieważ szedłem w górę rzeki, a głosy gęsi słyszałem z tego samego kierunku, rozumowałem więc, że jeśli zasiądę na wspomnianej łasze, to prąd zniesie ku mnie gęsi na odległość strzału. Zawróciłem i wkrótce leżałem na piasku, tuż nad wodą.

Tymczasem wiatr powiał niżej. Zaszeleściły na drzewach liście, a gładka dotychczas powierzchnia rzeki zaczęła się lekko marszczyć.

Czas mi się dłużył. Chłodna jesienna noc i wilgotny, zimny piasek nie usposabiały do marzeń, mimo,

że klasyczny ich wywoływacz, księżyc, często wyzierał ku mnie z pomiędzy chmur. Musiał się ze mnie tęgo uśmiać. W samej rzeczy ów lis z bajki, gdy odchodził od winogron, był w dużo lepszej odemnie kondycji, nie miał przynajmniej przemoczonego ubrania i nie dzwonił światu swego niepowodzenia. Nie uprzedzajmy jednak wypadków.

W pewnej chwili wiatr przyniósł mi głosy gęsi. Płynąc z wodą, zbliżyły się one do mnie znacznie. Słyszę je przez chwilę, poczem znów milkną, względnie wiatr głuszy je swym szelestem. W parę minut później słyszę je jednak znowu, tym razem naturalnie znacznie bliżej. Stają się przytem jakoś bardziej ożywione i niewątpliwie poruszają się na wodzie, dochodzą mię bowiem jakieś pluski i jakby uderzenia skrzydeł. Następnie znów spokój.

Pomimo, że natężam wzrok, jak tylko potrafię, nie mogę nic dostrzedz. W wodzie odbija się długą smugą jasna poświata księżyca, ptaków jednak nie widać.

Czekam dalej cierpliwie, nie rozumiejąc, co się stać mogło. Po dwóch, może trzech kwadransach znów słyszę głosy nie dalej, jak stokilkadziesiąt metrów; potem znów cisza.

Czatując w ten sposób, w przeciągu dwu godzin, głosy niewątpliwie nocujących na prądzie gęsi, słyszałem to bliżej, to dalej coś trzy razy. Nie zobaczyłem ich jednak i wreszcie przemoknięty, zmarznięty i zmęczony, wróciłem na barkas. Następnej nocy dął silny wiatr, było pochmurno i ciemno, więc na czatach nie siedziałem. Poprzestałem tylko na stwierdzeniu, że gęsi nocują w tem samem miejscu. Dopiero trzecia z kolei noc, bezwietrzna, księżycowa, jasna, przyniosła mi rozwiązanie zagadki.

Okazało się, że w samej rzeczy gęsi nocują na prądzie. Miejsce to obrały bezwątpienia dlatego, że prąd jest tu bardzo powolny. Siadają więc w górze odnogi i układają się do snu, w czasie którego woda znosi je w dół. Zanim jednak zniesie je do owej łachy, która grozi im niebezpieczeństwem, a na której ja tak bezskutecznie ich oczekiwałem, zrywają się i lecą w górę, by siadłszy znowu na wodzie drzemać przez czas, w którym prąd niesie je na przestrzeni tych kilku kilometrów.

Proszę pomyśleć tylko, co za przyjemna noc! Nim słońce zacznie wschodzić, muszą one kilkanaście razy budzić się i kilkanaście razy siadać u początku noclegu. Przez cały ten czas nie zbliżą się ani razu do brzegu na donioslość strzału! Ostrożność i czujność zdumiewająca.

W ciągu swych powolnych jesiennych wędrówek, gęsi prowadzą bardzo regularny tryb życia. Nocują na wodzie, a rankiem ledwo świtać pocznie, zrywają się i lecą na żer w pola i stepy. Żerują najchętniej na rżyskach i oziminach.

Zanim stado opuści się na ziemię, zachowuje wszelkie ostrożności i zawsze zatoczy pewną ilość okrążeń, badając sytuację i wypatrując niebezpieczeństwa. — Siadlszy na ziemi, gęsi rozglądają się we wszystkie strony, zabawnie wyciągając swe długie szyje, poczem zabierają się do jedzenia. Pasące się stado posuwa się w pewnym określonym kierunku, nie zaniedbując jednak ostrożności. Obserwując je zdaleka, widzi się, jak co chwila to jedna, to druga wznosi głowę do góry i bacznie rozpatruje okolice. Przy najmniejszem podejrzeniu niebezpieczeństwa poda ostry krzyk alarmowy i w jednej chwili wszystkie szyje wyciągają się jak struny, — człowiek się zbliża — jeszcze przeciągły okrzyk, stado zrywa się i odlatuje. Podejść te gęsi, pasące się w polu jest niemożliwością; prawie równie trudno jest je podjechać, a jeśli to się udaje, to przypadkowo, z jakiemś małem stadkiem i to, jak sądzę, z takiem, w którem niema starych.



Rekordowy kozioł (p. wzmianka na str. 646).

Około godziny 11-ej przed południem, rzadko wcześniej, poszczególne stadka i stada zaczynają się zrywać i lecą na Wołgę. Siadają na obszernych łachach piaszczystych, gdzie mają widok dostatecznie rozległy. Gdy siądą przedewszystkiem zaspokajają pragnienie, poczem każda postępuje według swego upodobania. Jedne kąpią się i poprawiają garderobę, inne zasunąwszy głowy pod skrzydła śpią, jeszcze inne czuwając przechadzają się tu i owdzie, z lubością wygrzewając się na słońcu.

Siesta ta trwa przez kilka godzin. Że jednak nie wszystkie przylatują w tym samym czasie, bo gdy jedne w najlepsze odpoczywają, to inne już wracają w stepy lub też ze stepów ciągną, więc ruch nad rzeką w godziny południowe panuje nieustanny. W jakim kierunku nieba zwrócimy wzrok, wszędzie widzimy coraz to nowe stada, a setki i tysiące ptaków snuje się nam przed oczyma bez przerwy. Naogół jednak ostatnie stada odlatują na popołudniowy żer mię-

dzy godziną 2 i 3 po południu, poczem znów na rzece nastaje spokój, aż do czasu, gdy zacznie się zbliżać pora noclegu.

W takich oto warunkach poluje się nad Wołgą na przelotne gęsi. Polować można dowoli. Do strzału dochodzi się wyjątkowo tylko. Ciągnąc na zimowiska szereg tygodni, od dybiących na nie po drodze myśliwych dostają gęsi tak dobrą szkołę, że nie łatwo je oszukać.

Zwykle kopie się w stepach doły. W nich zamaskowawszy się starannie, trzeba czekać, aż jakieś litościwe stado siądzie dostatecznie blizko. Tego polowania nie praktykowałem. Chętnie stawałem na zapadach, skąd często zresztą wracałem bez strzału. Gorączkujący się, nie znający opamiętania myśliwy, może się nad jeziorem nastrzelać. Naturalnie bez rezultatu, bo ptaki przelatują poza donioslością najlepszych strzelb, a po strzałach stają się tem ostrożniejsze. Nieoględna pukanina psuje więc tylko ptakom chwile układania się do snu, a myśliwemu odbiera ostatecznie możność zdobyczy. Trzeba zresztą zauważyć, że wielkość ptaków myli w ocenianiu odległości. Szeroko rozwinięte skrzydła zdają się być zawsze bliższe, niż są w rzeczywistości.

Stojąc spokojnie, można się jednak niekiedy doczekać, że jakaś mniej ostrożna sztuka przeciągnie dość nisko i po dobrym strzale uderzy bezwładnie o wodę lub łamiąc ciężkiem ciałem gałęzie, zapadnie się w wikliny.

Pamiętam też kilka, bodaj zupełnie przypadkowych, szczęśliwych strzałów kulowych, na duże odległości, do sztuk, które się zagapiły na piaskach.

Najżywiej jednak zachował się w mej pamięci jeden strzał. Barkas posuwał się powoli w górę rzeki. Siedziałem na pokładzie, pijąc poobiednią kawę. Strzelba, jak zwykle, leżała obok. Nagle nad statkiem, rzecz niebywała, zauważyłem ciągnącą pojedyńczą sztukę. Po strzale złożyła skrzydła i całą siłą ciężkiego ciała uderzyła... w sam środek stołu. Filżanka i inne towarzyszące jej szkło poszło w kawałki. Nieprawdaż, takie zdarzenia miewają tylko myśliwi?

JANUSZ DOMANIEWSKI.



WSPOMNIENIE MYŚLIWSKIE Z WOJNY ŚWIATOWEJ.

(Dokończenie).

Po dwu dniach wypoczynku zaczęła się służba. Los chciał, że ja ją właśnie pierwszy rozpocząłem. Wezwany do dowódcy grupy, otrzymałem od niego schowany starannie w zalakowanej kopercie pisemny rozkaz i ustne dyspozycje. Miałem swoich 250 ludzi i 3 oficerów ustawić za dwie godziny w pełnym bojowym rynsztunku na szosie, przyjąć siedmiu polowych żandarmów węgierskich dla pilnowania porządku i utrzymywania dyscypliny, opatrzyć dobrze tabor bojowy, złożony z czterech wozów i wyruszyć w góry na pięć dni na poszukiwanie wroga, przedewszystkiem kozackich patroli, tudzież dla spenetrowania hal i przesmyków po drugiej stronie granicznego działu wodnego. Marszruta z mapką sytuacyjną znajdowała się wewnątrz koperty. Stosownie do ustnego polecenia miałem ją otworzyć dopiero u wylotu wsi Nemet - Mokrej,położonej w odległości około 5-ciu km. na północ od Kiraly - mözö i przyjąć tam jeszcze dwu przewodników — Niemców. Ruskich huculów z tej strony Gorganów jakby nie było. Skryli się zapewne w głębokich, niedostępnych lasach... Dowództwo austrjackie nie miało zresztą do nich żadnego zaufania i posądzało ich stale o akcję szpiegowską na rzecz Rosji... Później, już po stronie galicyjskiej Karpat, oglądałem ze zgrozą tragiczne skutki tych podejrzeń i posądzeń w formie masowych wyroków śmierci i doraźnych justyfikacyj. Niemal w każdej wsi widziało się wiszących na przydrożnych drzewach, parkanach, stajniach i t. d. rzekomych winowajców tak mężczyzn, jak kobiety, a nawet i dzieci... Aczkolwiek patrzyłem śmierci codziennie w ślepia i zżyłem się z nią, to przecież burzyło się we mnie podówczas całe moje jestestwo, rodził się gdzieś w głębi duszy bunt, krzyczała rozpacz. I dzisiaj jeszcze, po upływie lat szesnastu, przypominam sobie ze wstrętem te koszmarne obrazy strasznej wojny...

Tabory miały wyjechać w dwie godziny później po mnie i trzymać się drogi, zbudowanej w górę rzeki Mokranki i stanąć nakoniec u stóp Popadi tam, gdzie był tartak i młyn. Na wozach znajdowały się prowianty.

Gdy wszystko zarządziłem i przygotowałem, ruszyłem w drogę. W Niemieckiej Mokrej odczytałem rozkaz i stosownie do jego brzmienia poczęliśmy tuż za wsią wspinać się w górę. Przewodnicy szli pierwsi i prowadzili.

Po dwu godzinach ciężkich trudów wywindowaliśmy się na grzbiet: Strundzul — Brunsztul — 1.600

m. nad poziom morza i nieco wypoczęli. Ponieważ już się ściemniało, postanowiłem tam zanocować. Żołnierze mieli swoje polowe namioty, po jednym na czterech ludzi. Ja zaś z kolegami znalazłem wygodną myśliwską kolibę, przygotowaną snać dla jakichś dostojnych łowców... Zaczynało się bowiem rykowisko. Jeleni było dużo. Ale wojna wypłoszyła nemordów, a zwierzyna została. Zamiast myśliwych przyszliśmy my i wyzyskali nagromadzone i przygotowane przez nich zapasy w postaci konserw mięsnych i owocowych, ciepłych koców i pledów, naczyń kuchennych, a przedewszystkiem wygodnych łóżek, zasłanych wonnem sianem. Jeden z kolegów znalazł w kolibie pod ławką nawet kilka paczek nabojów ekspansywnych do Schönauera o małym kalibrze...

Wszystkie te wojenne zdobycze i interesujące odkrycia podsunęły mi nagle myśli, czyby nie skorzystać z prawa wojennego i nie zapolować na jelenia... Oczywiście, o ile się zdarzy sposobność pomyślna.

I przyszła prędzej, niż się spodziewałem.

Już z wieczora w przerwach, gdyśmy, wspinając się na Strundzul, odpoczywali chwilami, słyszałem głuche porykiwania jeleni, dochodzące do uszu z różnych stron. Ryczały atoli krótko i urywały. Aby nie płoszyć królewskiego zwierza, kazałem przezornie moim żołnierzom palić ogniska obozowe tylko w zagłębieniach terenu, a nadto otaczać je dokoła gęstym płotem z naciętych świerków, aby nie było widać płomienia i aby dym unosił się prosto wgórę.

Poleciłem im także zupełne milczenie. Przed spoczynkiem odbyłem krótką naradę z przewodnikami i dowiedziałem się od nich, że niedaleko od naszego obozu na południowej stronie upłazu, porośniętego rzadkiem starodrzewiem, ryczą codziennie w rannych godzinach dwa grube byki, i że możnaby je na pewien przesmyk, znany przewodnikom, powoli na dobry strzał napędzić, a to tem łatwiej, że zwierz nie był płoszony. „Przychodzą zawsze o świcie z północnej strony działu, ryczą na upłazie przez godzinę mniej więcej i odchodzą później w kierunku zachodnim", dodali wkońcu znawcy gór...

Wiedząc już wszystko, ułożyłem natychmiast plan działania. Oto o świcie wyprawię kilka patroli pod dowództwem oficera i sierżanta na dział wodny, względnie grzbiet upłazu, każę im iść z przewodnikami powoli, nasłuchiwać pilnie i czekać na przekroczenie działu przez jelenie. Skoro się tak stanie, mają żołnierze przeciąć jeleniom drogę, a gdy zaczną ryczeć, wynurzać się ostrożnie z za grani i napędzać je powoli w moją stronę, na wskazany przez przewodnika przesmyk, na którym będę czatował..

Wstał piękny dzień wrześniowy. Pamiętny 26 września. Już przed świtem byłem na nogach. Odprawiłem patrole z jednym przewodnikiem, a z drugim zdążałem ku przesmykowi. W rękach trzymałem swój precyzyjnie strzelający Werndl. Ledwie doszedłem do przesmyku, usłyszałem z oddali bojowe porykiwanie grubej sztuki... Głos płynął do mnie z dobrym wiatrem, więc szanse łowieckie rosły, otucha wstępowała w serce, a nadzieja, ta wierna przyjaciółka i towarzyszka myśliwych, owładała mną bez reszty. Mgła poranna i leśne opary poczęły szybko pod tchnieniem ciepłych promieni słońca opadać i zanikać, pozostawiając po sobie srebrzyste krople rosy, nawisłe na każdej igiełce świerczyny. Znowu ryk, już bliższy... Naraz wśród rzadkich świerków, w środku upłazu, ukazał się on... rycerz z bajki, król gór, cały w blaskach złotej poświaty... Kroczył powoli, na kulawy sztych do mnie, porykiwał grubym basem i oglądał się za siebie. W jego majestatycznych ruchach nie było atoli żadnej trwogi, żadnego, zdawało się, niepokoju. Szedł swobodnie, stępa... Gdzieś daleko za nim odzywał się drugi. Patrzyłem na swego, jak urzeczony. Za każdem stęknięciem buchała z pyska chmura pary. Otwierał go często... Uzbrojony w Zeissa, liczyłem końce... Było ich czternaście. Byk ogromny, wieńce, jak gałęzie, między łyżkami, ciemne, grube, zamaszyste z jasnemi końcami... Zamieniłem się w posąg, ściskając w drżących dłoniach sztucer, a ukryty dobrze za gęstym świerkiem, byłem pewny zdobyczy... Są chwile, w których myśliwy wyczuwa prawie swój triumf; nie musi zwierzyny nawet widzieć lub słyszeć, a mimo to jest pewny, że przyjdzie i zostanie po strzale...



Fot. J. Szumowski.

Tymczasem cudna zjawa szła do mnie, jakby jakąś niewidzialną mocą napierana, jak po sznurku... Całą siłą woli uspokajałem rozedrgane nerwy, a przedewszystkiem serce, ten niepojęty, tak czuły i tak zawsze czujny motor człowieczego życia... Teraz chwytałem każde jego drgnienie.

Byk szedł ciągle... Naraz na jakie 50 m. ode mnie przystanął i pełen niepokoju albo zwietrzył za sobą niebezpieczeństwo, lecące na skrzydłach wiatru i przynoszące mu do wilgotnych nozdrzy zapach ludzi, albo odczuł je wieszczym instynktem od przodu i zawahał się, nie wiedząc, co z sobą począć.

Był taki moment, że zdawało się, iż jeleń zbiera się do olbrzymiego skoku, aby runąć w odległy gąszcz i uciec pod jego osłoną przed niewidzialnem, ale przeczuwanem niebezpieczeństwem. Ale od dobrej chwili już ślizgała się po jego odkrytej komorze muszka śmiercionośnej broni... Wyzyskałem jego niepokój i wahanie się wtedy właśnie, gdy na chwilę przystanął, i wypaliłem...

Z nadmiernego podniecenia zapewne stanąłem źle, albo może za słabo przycisnąłem łożysko do ramienia, dość, że karabin oddał i kopnął... W chwili strzału straciłem równowagę i zwaliłem się jak długi na kamienie. Zerwałem się jednak natychmiast, włożyłem momentalnie nowy nabój i patrzyłem na miejsce

strzału. Nic jednak nie zobaczyłem. Chmura dymu jeszcze nad nim wisiała... Szukam przewodnika i wołam... Ile sprzecznych wrażeń przeżyłem i jakich — w tych kilku sekundach, ten tylko pojąć potrafi, kto się sam znajdował w podobnej sytuacji!...

Na moje wołanie odpowiada radosnem głosem przewodnik: „Jest, panie poruczniku, leży tutaj, jak góra, ani badylem nie ruszył po strzale"! Schodzę ze stanowiska i liczę kroki. Było ich 56. Jeleń leżał wyciągnięty na mchach głową ku dołowi. Z otwartego pyska sączyła się krwawa posoka. Kula przebiła górną komorę i przeszła na wylot, wydzierając po stronie wychodowej szmat mięsa i sierci i tworząc dziurę, w którą by wleźć mogło duże jabłko. Wewnątrz spustoszenie straszliwe. Oba płaty płuc i serce rozerwane.

Tak strzelały Werndle.. To też nic dziwnego w tem, że Moskale bali się tej właśnie broni, jak zmory...

Ubiłem w ten sposób pierwszego mego i, jak dotąd, jedynego w życiu jelenia, bądź co bądź w okolicznościach bardzo niezwykłych.

Przyszli żołnierze. Podciągnęli zdobycz wyżej na równiejsze miejsce, ściągnęli skórę, odcięli czaszkę z rogami i poćwiartowali mięso.

Kazałem je nasolić. Na drugi dzień ugotował z niego kucharz kompanijny doskonały rosół. Jedli go ze smakiem wszyscy. Także i mięsem nakarmiłem całą kompanję. Skórę i rogi załadowałem na wóz taborowy. Skórę wyprawili garbarze - wojacy, ale tak, że się wkrótce zepsuła. Rogi woziłem dość długo ze sobą, aż stało się w końcu po zaciekłej potyczce pod Żaklą, skończonej przegraną austrjacką i rozbiciem trzech baonów zdobyczą Moskali... Wzięli tam do niewoli kilkuset ludzi, wszystkie wozy a z niemi i moje niezapomniane, wspaniałe trofeum.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Nie wiele brakowało, ażebym się wtedy sam w ich ręce nie dostał. Uciekłem jednak szczęśliwie z małym oddziałem ludzi w głębokie góry do Ludwikówki, a stamtąd do Toronyi i do Husztu na Węgrzech.

Jadąc zbiedzony i schorowany na wozie sanitarnym szosą wzdłuż rzeki Wielkiej Agi do Husztu, rozmyślałem smętnie o swoim jeleniu i o cudnym jego wieńcu... Gdy atoli usłyszałem znowu po upływie dwu długich miesięcy, zmitrężonych w górach, świst lokomotywy, przypominający zatraconą, zdało się, cywilizację i inne lepsze życie, przestałem odrazu myśleć o jeleniach, o zdobycznych koniach, o Moskalach, o wisielcach i o tem wszystkiem, co w kompanji widziałem i przeżyłem, a postanowiłem niezłomnie wytężyć wszystkie starania w tym kierunku, aby w Karpaty już nigdy nie wrócić...

Dzięki sprzyjającym okolicznościom zabiegi moje się powiodły.

WŁADYSŁAW GÜRTLER.



OD CZEGO ZALEŻY KOLOR POROŻY.

Pomimo że studja nad budową poroży sięgają najdawniejszych czasów, nie udało się dotychczas stwierdzić niezbicie, co mianowicie wywiera wpływ na budowę poroża oraz na jego barwę.

Pozostawiając narazie na uboczu kwestję budowy poroży, przejdę do szczegółowego rozpatrzenia istniejących hipotez odnośnie czynników, wywierających wpływ na ich zabarwienie, oraz wysunięcie pewnych wniosków, która mianowicie z istniejących hipotez wydaje się być najbliższą prawdy.

Ścisłe rozgraniczenie tych hipotez jest o tyle trudne, że właściwie każda z nich ma coś wspólnego z pozostałemi, z tej też racji omawiać je będę tylko w tych szczegółach, co do których różnią się one między sobą zasadniczo.

Proces zabarwiania wieńców czy porostków rozpoczyna się podczas wycierania t. j. uwalniania ich od otaczającego rdzeń, sypułowatego naskórka, którego naczynia krwionośne doprowadzają soki do rdzenia, osadzając tam substancje, z których tworzy się narastająca masa kostna. Gdy proces ten ustaje, naskórek stopniowo zamiera, stając się coraz cieńszym, aż w końcu pod wpływem silnego swędzenia zostaje starty.

Ponieważ krążenie krwi w naskórku trwa nieomal do końca, przeto wycieranie połączone jest zawsze z mniejszem, lub większem krwawieniem, tem więcej, że naskórek ulega często przedwczesnemu kaleczeniu, skutkiem wzmożonego swędzenia, bądź przypadkowych obrażeń, spowodowanych uderzeniem, lub zadrapaniem gałęzi.

Bezpośrednio po wytarciu parostki lub wieńce są koloru żółtawo - białego, lub białego, w szczególności na końcach odnóg, niżej natomiast są różowawe, czego przyczyną są resztki krwi z naskórka. Pierwszym zatem barwnikiem, który mógłby mieć wpływ na późniejszy kolor poroża, byłyby owe resztki

krwi, które, sadowiąc się w porach na powierzchni poroża, pod wpływem powietrza i światła nabierałyby z czasem odcienia bronzowego.

Hipoteza ta zwalczana była przez Biermana w roku 1897 oraz Rotha, którzy byli zdania, że kolor poroża zależny jest wyłącznie od pigmentu, znajdującego się w gruczołach w samym rdzeniu, skąd za pomocą kanałów doprowadzany jest na zewnątrz, gdzie osadza się w porach. Podobnego zdania był i Zell, który zabarwienie poroża objaśniał prawem mimikry.

Druga hipoteza oparta była na twierdzeniu, że kolor poroża zależny jest wyłącznie od soków drzew iglastych i liściastych, które, zawierając w sobie większe lub mniejsze ilości garbnika, osadzają się podczas wycierania w porach poroża.

Aby się przekonać o słuszności tego twierdzenia, czyniono próby z kozłem w ogrodzeniu. Dla wycierania parostków dawano mu suche gałęzie świerkowe, w którym to wypadku parostki po wytarciu były całkowicie białe, gdy następnie dawano mu świeżo ścięte gałęzie dębowe, olchowe, brzozowe i sosnowe - porostki wprawdzie pociemniały, ale już po pierwszym deszczu były ponownie białe.

Wniosek, jaki stąd wyprowadzono był ten, że jakkolwiek kolor poroża zależny jest wprawdzie od soków roślinnych i zawartego w nich garbnika, to jednak trwałe zabarwienie możliwe jest tylko podczas jednoczesnego ścierania naskórka, gdyż po tym okresie pory na powierzchi poroża zasklepiają się.

Jaśniejszy lub ciemniejszy kolor poroża miałby być zależny od indywidualnych skłonności względnie porowatości poroża, a obok tego od właściwości soków poszczególnych gatunków drzew.

Potwierdzeniem niejako tej hipotezy są zbiory parostków, pochodzących z rozmaitych rewirów leśnych, na mocy czego przekonano się, że parostki jasno-szare pochodzą z rewirów czysto liściastych, lub takich, gdzie drzewa liściaste stanowią przewagę, ciemno-szare z terenów bagnistych z drzewami liściastemi głównie olszyną, szaro-bronzowe z rewirów czysto sosnowych, jasno bronzowe z sosnowych z domieszką dębu i ciemno bronzowe z rewirów świerkowych z ewentualną domieszką drzew liściastych.

Hipoteza ta wydawała się tylko częściowo słuszną, gdyż uwzględniała jedynie właściwości rozmaitych gatunków garbników, nie uwzględniała natomiast właściwości rozmaitych gatunków gleby, które powodują zwiększanie się lub zmniejszanie zawartości rozmaitych soli w roślinach, a w pierwszym rzędzie wapna i fosforu, które mają wpływ na budowę kości, jej ścisłość — względnie porowatość, a tem samem podatność wchłaniania w siebie rozmaitych garbników. Przykładem służyć nam mogą jelenie, trzymane w zwierzyńcach. Wieńce takich jeleni są zazwyczaj bardzo słabe i jasne pomimo obfitego, lecz zbyt jednostronnego karmienia.

Fakt, że końce odnóg są zawsze jaśniejsze, objaśnić można tem, że są one twardsze, mniej porowate, a co za tem idzie mniej podatne na wchłanianie barwników.

Niektórzy utrzymują, że do utrwalenia barwy poroża i jego połysku miałby się jakoby przyczyniać tłuszcz, co wydaje się zgoła nieprawdopodobne, gdyż naskórek sypułowaty pozbawiony jest jakichkolwiek gruczołów tłuszczowych.

Gdyby zabarwienie zależało tylko od procesu czysto mechanicznego, wówczas kolor poroża zależny byłby wyłącznie od właściwości garbników poszczególnych drzew, przyczem przyjąćby trzeba, że jeleń, czy kozioł posługiwaćby się musiał przy wycieraniu wyłącznie tylko jednym jakimś gatunkiem drzew, bo inaczej trudnoby objaśnić, dlaczego kolor poroża jest zawsze jednostajny na całej długości wieńców, czy parostków.

Wedle hipotezy Königa, obok procesu chemicznego oksydacji w grę wchodzi jeszcze inny czynnik, a mianowicie pewne właściwości czysto rasowe, tkwiące we krwi, które w dużej mierze wywierają wpływ na odcień poroża, czyli innemi słowy barwa poroża byłaby do pewnego stopnia dziedziczną.

Najciekawszą, a jednocześnie najbliższą prawdy, wydaje się hipoteza prof. Olta, poparta zresztą licznemi doświadczeniami.

Rezultaty tych badań wykazały, że biała masa kostna poroża otoczona jest ciemną obwódką szerokości około 1 milimetra, w której pod mikroskopem widoczne są pory wypełnione ciemno-bronzową masą. Masa ta, jej ilość i odcień decydują o kolorze poroża. Nie ulega ponadto wątpliwości, że masa wypełniająca pory przedostaje się z zewnątrz, gdyż w przeciwnym razie ślady owej masy widoczne byłyby w kanałach, znajdujących się wewnąrz poroża. O tem, że masa przedostaje się z zewnątrz, świadczy i to, że tylko te pory wypełnione są masą brunatną, których otwory wychodzą nazewnątrz, wszystkie inne natomiast, które mieszczą się nawet tuż pod samą ścianką poroża wypełnione są tylko powietrzem i śladu najmniejszego masy nie wykazują.

Badania mikroskopijne masy wykazały, że jest ona jednolitą pod względem swej konsystencji, przyczem kolor jej w zależności od grubości warstwy może być od jasno-żółtego do ciemno-bronzowego. Poza tem ustalić się dało, że odcień zależny jest od składu chemicznego krwi i zawartości w niej związków żelaza i białka, które w połączeniu z solami roślinnemi, gdzie garbnik odgrywa drugorzędną rolę, ulegają oksydacji pod wpływem działania powietrza.

Zależność barwy poroża od barwy sierści jest, jak twierdzi prof. Olt, taka sama, jak zależność koloru kości człowieka rasy czarnej lub białej od koloru skóry, czyli żadna. Ciemny kolor porozy pochodzących z terenów bagnistych wypływa stąd, że poroża takie są niezmiernie porowate skutkiem braku w pokarmach dostatecznej ilości substancyj, sprzyjających do tworzenia masy kostnej, jak wapno i fosfor. Ta nadmierna porowatość sprzyja oczywiście do osadzenia się w porach większej ilości masy, nadającej kolor ciemno-szary bez zbytniego połysku.

Połysk, zdaniem mojem, jest zależny wyłącznie od spoistości, czyli twardości masy kostnej, która o ile jest twardszą, łatwiej się poleruje oraz od żywicy, która przy wycieraniu gromadzi się na powierzchni poroża tworząc rodzaj warstwy polityry, uniemożliwiającej oddziaływanie wpływów amosferycznych na zmianę barwy.

S. KAMOCKI.

SZTUCZNA HODOWLA GŁUSZCÓW I CIETRZEWI.

W numerze 19-tym „Łowca Polskiego" z roku 1931, znajduje się notatka o próbach sztucznej hodowli cietrzewi. Stwierdza ona, że próby takie robiono w Niemczech, jednakże przeważnie z rezultatem ujemnym i że w rzadkich bardzo wypadkach udania się, wymagały one nadludzkich poprostu wysiłków. Notatka ta wywołała nawiązanie dr. W. B. z Perehińska, który nawołuje do robienia prób z wylęgiem cietrzewi, przez podkładanie ich jaj dziko wysiadującym bażancicom.



Głuszec jednodniowy.

Wogóle zainteresowanie tą sprawą jest dość znaczne wśród naszych myśliwych, lecz równocześnie istnieje zupełna nieświadomość rezultatów, otrzymywanych zagranicą, co tłumaczy się notorycznym wstrętem do studjowania literatury. Wszystkie nasze dotychczasowe podręczniki łowiectwa zgóry podają w wątpliwość wyniki sztucznej hodowli cietrzewi, nie mówiąc już o głuszcach, które mają rzekomo zupełnie nie nadawać się do wylęgu pod drobiem domowym. Inż. W. Krawczyński („Łowiectwo". Warszawa 1924) mówi dosłownie *„wysiadywanie opuszczonych przez głuszycę jaj przez kury domowe lub indyczki okazało się zawsze daremnym i do niczego nie prowadzącym zabiegiem"*. Również w monografji B. Świętorzeckiego (Warszawa 1925) autor zaprzecza możliwości wychowania głuszców pod drobiem domowym. Jedynie J. Sztolcman („Kalendarz Myśliwski" Warszawa 1906) i hr. Rzewuski („Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie" Warszawa 1924) stwierdzają, że próby takie udawały się i wyrażają nadzieję, że kiedyś dojdzie do większej ilości doświadczeń w tym kierunku.

Zagraniczna literatura podaje wiele prób udanych a nawet w czasopiśmie „Wild u. Hund" z roku 1903-go istnieje wzmianka o sztucznej hodowli głuszców i cietrzewi w Szkocji, która już od trzydziestu lat ratuje w ten sposób stan ich w łowiskach dzikich. Pozatem znane dzieło myśliwskie „Die Hohe Jagd" zawiera pracę radcy dworu W. Wurm'a, która dokładnie opisuje sztuczną hodowlę głuszców i cietrzewi i wymienia próby zupełnie udane, łącznie z otrzymywaniem skrzekotów. W każdym jednak razie stwierdza wymieniony autor, że wychów pod drobiem domowym jest bardzo trudny i rzadko się udaje. Najlepsze rezultaty były wtedy, gdy sama głuszyca czy cieciorka wysiadywała w dużej woljerze.

W roku bieżącym pokusiłem się o zrobienie doświadczenia wychowu sztucznego głuszców i cietrzewi i pragnę podzielić się z zainteresowanymi czytelnikami moim wynikiem. Podsadziłem mianowicie siedem jaj głuszca pod kurę rasy Orpington, a trzy jaja cietrzewia pod białą indyczkę. Niestety z powodu braku czasu (jaja były już zalęgnięte), zaniedbałem odkażenia nasiadek z pasożytów skórnych, co mogło być powodem późniejszego, jakkolwiek połowicznego tylko niepowodzenia. Głuszce wylęgły się wszystkie, cztery zdechły jeszcze przed obeschnięciem, gdyż wyszły z pod nasiadki na nocne zimno, trzy zaś pozostałe nauczyłem obcowania z przybraną matką, kosztem czterech bezsennych dni i nocy. Nie będę narazie opisywał sposobu karmienia, lecz poprzestanę na zapewnieniu, że młode chowały się stosunkowo łatwo, były bardzo oswojone, a zdechły już jako farbujące po pięciu tygodniach życia. Powodem śmierci była prawdopodobnie kokcydioza.



Głuszec pięciotygodniowy.

Z cietrzewiami poszło o wiele łatwiej i mogę śmia-

ło powiedzieć, że dużo mniej wymagały zabiegów, niż młode bażanty. Wylęgły się dwie sztuki, jak się — teraz okazało — kogut i kura i do dnia dzisiejszego bardzo zdrowo i dobrze się chowają. Załączone zdjęcia przedstawiają pisklę głuszca, głuszca pięciotygodniowego i siedmiotygodniowego cietrzewia. O dalszych losach cietrzewi nie omieszkam zawiadomić czytelników „Łowca Polskiego".

Jak widać z powyższego, sztuczna hodowla cietrzewi i głuszców ma widoki powodzenia. Nie znaczy to jednak bynajmniej, aby w konsekwencji dało się te ptaki tak uplastycznić, jak bażanty; to mogłoby być dopiero wynikiem długotrwałej hodowli z selekcją na bardzo licznym materjale. Może udałoby się wytworzyć głuszca lub cietrzewia, któryby z łatwością przystosował się do więcej kulturalnego otoczenia.

JAN MARCHLEWSKI
st. fil. U. J.



Cietrzew siedmiotygodniowy.

Opisane próby sztucznej hodowli i to nietylko głuszców i cietrzewi, ale także jarząbków i pardw są bardzo ważne dla naszych stosunków łowieckich z punktu widzenia możliwości ponownego osiedlania tych ptaków w doskonale nadających się do tego rewirach, których mamy bardzo dużo, a w których z tych, czy innych powodów ich nie widzimy.

Osiedlanie takie kilkakrotnie się udawało i w zasadzie jest możliwe, jednak nieznane są bliżej jego metody i trudności, z któremi walczyć wypadło.

Nie zachodzi tu wcale potrzeba „uplastycznienia" tych ptaków na wzór bażantów lub, jak chce Sz. Autor, wytworzenia typu, bardziej przystosowanego do kulturalnego otoczenia, gdyż ptaki, o których mowa są „naszemi ptakami" w dodatku bardzo niewybrednemi (szczególniej w starszym wieku) pod względem wyżywienia. Chodzi o zbadanie i dostosowanie się do niektórych właściwości obyczajowych, powodujących, że utrzymanie ich w wybranym rewirze nastręczą częstokroć poważne, nie dające się wyrozumieć trudności.

Okazało się np., że stare ptaki wszelkich gatunków nie nadają się do obsadzania nanowo rewirów, mają bowiem wyraźną tendencję do wywędrowania do rewirów, skąd pochodzą. Co do młodych zaś, sztucznie wyhodowanych ptaków nader ważną jest kwestja przywrócenia im potrzebnej dzikości i umiejętności unikania niebezpieczeństw. U kuropatw zagadnienie to zostało rozstrzygnięte przez oddawanie młodych, świeżo wylęgniętych kuropatewek pod opiekę staremu, specjalnie w tym celu hodowanemu kogutowi. Być może, że podobny eksperyment udałby się także z pardwami.

Byłoby niezmiernie pożądanem, aby ci z hodowców, korzy prób tych dokonywują, niezależnie od wyników, — donosili o tem redakcji „Łowca Polskiego", która będzie wiadomości te publikowała. (P r z y p. r e d.).

W O L N A T R Y B U N A

ODPOWIEDŹ NA ARTYKUŁ „POLSKA AMUNICJA W ŚWIETLE CEN" P. INŻ. K. CHRZANOWSKIEGO.

Korzystając z uprzejmości Sz. Redakcji „Łowca Polskiego", która zaofiarowała w „Wolnej Trybunie" łamy Swego Wydawnictwa dla dyskusji na tak ważkie tematy, jak te, które ostatnio zostały poruszone i o których tu piszemy, — pozwalamy sobie odpowiedzieć p. inż. K. Chrzanowskiemu na Jego artykuł p. t. „Polska amunicja w świetle cen", zamieszczony w Nr. 36 z dn. 3 b. m. „Łowca Polskiego". Zastrzegamy się zgóry, że pragniemy odpowiedzieć jedynie na te ustępy tego artykułu, które wyłącznie nas dotyczą, jako producentów prochu. Pomijamy natomiast inne, tyczące się bezpośrednio fabrykantów gotowej amunicji.

Cieszy nas bardzo zainteresowanie, z jakiem się spotykamy w odniesieniu do krajowej produkcji prochów, czego dowodem — zresztą nieodosobnionym — jest zabranie głosu przez p. inż. K. Chrzanowskiego. Musimy zaznaczyć, że zawsze z wdzięcznością przyjmujemy wszelkie uwagi, o ile są one słuszne, albo o ile pochodzą od tych, którym — jakkolwiek pracują oni na innych placówkach, może w różnym zakresie, — zależy narówni z nami na należycie pojętym rozwoju przemysłu rodzimego.

Tylko więc w tem zrozumieniu i w tym duchu pragnęliśmy dać odpowiedź p. inż. K . Chrzanowskiemu. Miło nam, że odpowiedź ta może wypaść taka, jaką On sobie życzył, wyrażając w Swym artykule szczere

i serdeczne życzenie, ażebyśmy mogli podanym przez Niego faktom zaprzeczyć.

Odpowiemy kolejno.

Każdy gatunek prochu zostaje poddany przez nas ścisłym badaniom. Taksamo każda wyprodukowana partja danego prochu, zanim zostanie oddana do sprzedaży, jest bardzo skrupulatnie badana na naszej stacji doświadczalnej, jak również na własnej strzelnicy i to przez specjalną komisję, niezależną od tego Wydziału, który proch wyprodukował. Fabryka nasza rozporządza wszystkimi znanemi aparatami do tego rodzaju pomiarów; aparatury naszej nie powstydziłoby się żadne laboratorjum, ani stacja badawcza zagraniczna.

Nie dosyć na tem. Nie ograniczamy się do badań tylko samego prochu, ale badamy również wszystkie elementy amunicji, a więc spłonki, łuski, przybitki, śrut i t. d. Ponadto dla celów badawczych posiadamy oprócz własnych prochów, całą kolekcję rozmaitych prochów zagranicznych, europejskich i amerykańskich. Jednem słowem opierając się na najnowszych wymogach i ostatnich zdobyczach techniki, nie poprzestajemy na tem, co już osiągnęliśmy, ale staramy się zawsze iść naprzód i ulepszać nasze prochy pod względem jakościowym. Staramy się również, przez zastosowanie najnowszych metod fabrykacji, obniżać ceny naszych produktów, czego dowodem jest wprowadzenie przez nas w r. b. na rynek krajowy — cieszącego się już wielkiem powodzeniem — bezdymnego prochu myśliwskiego „Kuropatwa", którego cena dla konsumenta wynosi zaledwie zł. 2.50 za 100 gr., podczas gdy cena prochu „Sokół" mimo wielkich kosztów produkcji, jest taka sama, jak w roku ubiegłym, t. zn. zł. 3.20 za 100 gramów.

Mimo tak wysoko postawionej stacji badawczej i strzelnicy i mimo ciągłych badań przeprowadzanych przez naszych fachowców, mających już prawie 10-cio letnią praktykę w naszych zakładach i znających praktycznie nietylko metody europejskie, ale także amerykańskie — przesyłamy co pewien czas nasze prochy do zbadania i do wydania opinji do światowej sławy stacji doświadczalnej w Liege (Banc des Epreuves). Wydane przez tę stację urzędowe zaświadczenia, będące w naszem posiadaniu, wykazują zupełną zgodność z wynikami naszych badań. Ponadto jedna z firm krajowych, przesłała do zbadania — bez naszej wiedzy — nasze prochy „Sokół", „Królewski" i „Kruk" do jednej ze stacyj badawczych niemieckich i otrzymała odpowiedź, że proch naszej fabrykacji wprowadził ich w zdumienie swoją wysoką jakością. Podobne orzeczenia otrzymały i inne firmy.

Takie same opinje otrzymujemy i z innych źródeł. Godność króla kurkowego została zdobyta na tegorocznym Kongresie Zjednoczonych Bractw Kurkowych nabojami ładowanemi naszym prochem „Królewskim". Taksamo wicemistrzostwo i wiele innych nagród. — Strzelając naszym prochem osiągano na 80 możliwych pierścieni, 77 pierścieni na odległość 175 m. Ten wynik jest nieodosobniony gdyż inni zawodnicy mogli się poszczycić 76 wzgl. 72 pierścieniami.

W tych warunkach nie musimy chyba specjalnie podkreślać, że rozsyłanie przez nas próbek do niektórych firm ma zupełnie co innego na celu, mianowicie względy handlowe. Chodzi jedynie o to, by zapoznać zainteresowanych z naszemi wyrobami, co zresztą w tej formie jest wszędzie praktykowane.

Cieszylibyśmy się bardzo gdyby p. inż. K. Chrzanowski zawitał do nas i naocznie przekonał się o tem, co tu tylko pokrótce możemy opisać. Cieszyłoby to nas tem więcej, że zawsze bardzo cenimy współpracę i jesteśmy za nią wdzięczni, uważając ją za najlepszy środek do osiągnięcia wspólnego celu.

PAŃSTWOWA WYTWÓRNIA PROCHU
W ZAGOŻDŻONIE.

DZIAŁ URZĘDOWY.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 6 WRZEŚNIA 1932 R.

Obecni pp.: przewodniczący W. Szperling, Maurycy hr. Potocki, Walenty Garczyński, Herman Knothe, Czesław Lisowski, Józef Skrzypek, Al. Tallen-Wilczewski, Kazimierz Tołłoczko, Jan Żukotyński.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 11 sierpnia r. b. jednomyślnie przyjęto do wiadomości.

Komitet redakcyjny „Łowca Polskiego" na posiedzeniu swem w dniu 26.VIII r. b. postanowił przeprowadzić zmianę w dotychczasowym składzie Komitetu redakcyjnego i wniosek ten przedstawił Wydziałowi Wykonawczemu do aprobaty. P. red. Garczyński, motywując wniosek ten, oświadczył, że dążeniem Komitetu redakcyjnego jest, by wszyscy członkowie nietylko brali czynny udział w pracy, lecz żeby wnieśli pewną fachową pomoc w poszczególnych działach, a wówczas dopiero praca Komitetu redakcyjnego będzie wydajną. Po dyskusji, w której zabierali głos pp.: Skrzypek, Tołłoczko i Żukotyński, Wydział Wykonawczy postanowił wyrazić serdeczne podziękowanie ustępującym członkom Komitetu redakcyjnego za ich pracę i, przychylając się do wniosku, ustalił nowy skład Komitetu redakcyjnego w osobach: pp. K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knothe, Wł. Korsak, J. W. Kobylański, St. Leski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Pan mec. Tallen-Wilczewski odczytał projekt regulaminu „Żetonu Zasługi" i „Medalu Zasługi" opracowany przez specjalną Komisję. Po dyskusji, w której zabierali głos wszyscy obecni, postanowiono prosić Komisję, aby po wprowadzeniu zmian redakcyjnych, na najbliższe posiedzenie Wydziału raz jeszcze przedstawiła projekt regulaminu, a dyskusję dzisiejszą uważała, jako dezyderat.

P. Cz. Lisowski zreferował sprawę nawiązania kontaktu z Bractwem strzelców kurkowych dla wspólnego użytkowania strzelnicy Bractwa w Szczę-

śliwicach. Wyłoniona przez Wydział Wykonawczy Komisja, w osobach pp.: gen. Kazimierza Fabrycego, Czesława Lisowskiego i Józefa Skrzypka, w dniu 29 sierpnia r. b. zwiedziła strzelnicę w Szczęśliwicach, poczem odbyło się posiedzenie, na którem oprócz wyżej wymienionych przedstawicieli Polskiego związku stowarzyszeń łowieckich, ze strony Bractwa strzelców kurkowych byli obecni pp.: wiceprezes zarządu inż. St. Mszczonowski, sekretarz zarządu płk. dr. T. Sas - Jaworski i strzelmistrz - członek zarządu mec. E. Kłossowski.

Na posiedzeniu tem przedewszystkie omawiana była współpraca Polskiego związku stowarzyszeń łowieckich z Bractwem strzelców kurkowych. Celem pobudzenia społeczeństwa do zaitneresowania się sprawą strzelania, zebrani postanowili w dniu 3 do 5 listopada r. b. urządzić zawody myśliwsko-strzeleckie pod wezwaniem św. Huberta. W skład Komitetu organizacyjnego zawodów wchodzą pp.: prezes gen. Kazimierz Fabrycy, zastępca—Czesław Lisowski, członkowie: jako gospodarz — Stanisław Knopff, jako skarbnik — Tadeusz Koszutski, inż. St. Mszczonowski, mec. Edw. Kłossowski, płk. T. Jaworski, oraz osoby dokooptowane, do czego Komitet jest upoważniony. Komisja rewizyjna pp.: Józef Skrzypek i Władysław Wagner. Na następnem posiedzeniu będzie ustalony skład Komitetu honorowego zawodów.

W związku z nowelizacją prawa łowieckiego, Wydział Wykonawczy opracowanie projektu statutu Polskiego związku stowarzyszeń łowieckich powierzył p. red. Garczyńskiemu.

P. Cz. Lisowski komunikuje, że otrzymał zaproszenie z Izby przemysłowo - handlowej na posiedzenie w sprawie projektu ustawy o handlu bronią. Ze względu na ważność sprawy, p. Lisowski proponuje, by na dzisiejszem posiedzeniu Wydział ze sprawą tą się zaznajomił i może uznał za stosowne wysunięcie pewnych postulatów, ewentualnie dał pewne dyrektywy w tej sprawie. P. Żukotyński uważa, że ze względu na obszerny materjał tego projektu, Wydział nie zdąży na dzisiejszem posiedzeniu zaznajomić się z całą sprawą, proponuje więc prosić p. Lisowskiego, żeby w imieniu Polskiego związku stowarzyszeń łowieckich projektu tego, jeżeli zajdzie potrzeba, bronił, a jest przekonany, że p. Lisowski, jako specjalista, sprawę tę należycie postawi.

Wniosek p. Żukotyńskiego Wydział jednomyślnie przyjął.

Przyjęto do wiadomości rezygnację delegatów pp.: A. Zygmunta Frycza delegata na powiat Pińczów woj. Kieleckie i F. Zawadzkiego delegata na powiat Wileńsko-Trocki.

Nadesłany przez Wielkopolski związek myśliwych artykuł p. t. „W sprawie drogich nabojów", postanowiono umieścić w najbliższym numerze „Łowca Polskiego".

ODEZWA
DO PP. MYŚLIWYCH, HODOWCÓW, CZŁONKÓW LIGI OCHRONY PRZYRODY I PRZYJACIÓŁ FAUNY KRAJOWEJ.

Sprawa ochrony łosia, najwspanialszego naszego zwierza łownego, wymaga niezwłocznych środków zaradczych. W szeregu artykułów, zamieszczonych w „Łowcu Polskim", sprawa ta została dostatecznie wyświetlona i umotywowana. Celem stworzenia organu, któryby zadania podobnej akcji podjął i skoordynował, wysunięto koncepcję powołania do życia przy Polskim Związku Stowarzyszeń Łowieckich osobnej „Sekcji ochrony i hodowli łosia", której regulamin ogłoszono w N-rze 26 „Łowca Polskiego" z roku bież.

Sekcja o. i h. łosia ma za zadanie zarówno badanie warunków przebywania i rozmnoży łosi w Polsce, jak też przedsiębranie wobec władz państwowych oraz właścicieli łowisk prywatnych, kroków, zmierzających do zapewnienia łosiowi należytej ochrony i opieki. Członkiem Sekcji może zostać każdy obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, zgłaszający swój akces z zobowiązaniem się do uiszczania składki w kwocie zł. 10 rocznie.

Przystępując do praktycznego zrealizowania tej myśli, Wydział Wykonawczy P. Z. S. Ł. wzywa do jaknajliczniejszego udziału w powstającej Sekcji wszystkich, którym leży na sercu zarówno sprawa podniesienia łowiectwa w kraju, jak też ochrona faunistycznych zabytków naszej pięknej przyrody.

Wystarcza pisemne zgłoszenie pod adresem Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich (Warszawa, Nowy Świat 35) o zapisanie do liczby członków Sekcji Ochrony i Hodowli Łosia (z wyraźnem podaniem adresu zamieszkania) z jednoczesnem przekazaniem na rachunek tego Związku w P. K. O. Nr. 8082 kwoty 10 zł., jako składki na r. b.

Po zebraniu dostatecznej ilości zgłoszeń — w każdym razie przed końcem r. b. — zwołane będzie Walne Zgromadzenie członków Sekcji, które dokona wyboru Zarządu Sekcji i rozpocznie faktyczną działalność nowej organizacji.

ROZMAITOŚCI

FRANCUSKO-WŁOSKIE STOSUNKI ŁOWIECKIE.

Rząd Italji dał przez akt wysokiej kurtuazji wyraz zainteresowaniu, jakie żywi dla Międzynarodowej Rady Łowieckiej i francuskich myśliwych.

Minister Rolnictwa Italji powiadomił mianowicie oficjalnie p. Maksyma Ducrocq, Prezesa M. R. Ł., że J. E. Mussolini z prawdziwem zadowoleniem powitałby przybycie do Italji myśliwych francuskich. Z tego powodu p. Salvi, Poseł, Prezes Narodowego Związku Myśliwych Italji i Wysoki Komisarz dla łowiectwa organizuje przyjęcia i łowy na cześć myśliwych francuskich we wspaniałych dobrach senatora Markiza Guglielmi oraz Księcia Don Scipione Borghese i we wspaniałych rezerwatach, własności Dzieła Narodowego Wojowników Italskich.

Wyjazd z Paryża nastąpi 20 października.

Z powodu otwarcia polowania, p. Maxime Ducrocq, Prezes Międzynarodowej Rady Łowieckiej, zaprosił na swe słynne tereny w Nowych Zamkach (Słowacczyzna) kilka najlepszych strzelb Europy. Podczas tego zjazdu, w ciągu którego padło przeszło siedem tysięcy sztuk zwierzyny, pobito wiele ciekawych rekordów: grupa czterech myśliwych, polując ławą, ubiła w ciągu jednego dnia 900 kuropatw, z czego 301 padło z ręki Prezesa Ducrocq'a.

W łowach tych wzięli udział: hr. Chorinsky, M. Debuchy, baron de Gaiffier D'Hestroy, Ambasador Belgji, baron P. de Gaiffier D'Hestroy, M. Laine, hr. de Maille, hr. Palffy D'Erdod, hr. Maurycy Potocki, baron Roger, G. Salembier.

WAB ŁOSI W ORDYNACJI DAWIDGRÓDECKIEJ.

Wabienie się i ruja łosi w ordynacji Dawidgródeckiej w całej pełni. Codziennie wczesnym rankiem i przed wieczorem, wśród grobowej ciszy puszcz i rojstów poleskich — słyszę stękania łosi, chód ich po moczarach, łamanie gałęzi i zarośli, gdy się te olbrzymy przedzierają przez nie, ich „bicie na trwogę".

Od szeregu dni karmię się urokiem życia i cudów tutejszej przyrody. Fałatowskie obrazy przesuwają się przed oczyma w swej naturalnej potędze.

Oryginalny i niezapomniany jest koncert łosi wygrywany we wszystkich ostępach i uroczyskach.

Zmobilizowana służba leśna nasłuchuje stale, codziennie rankiem i pod wieczór, odgłosów godów łosiowych i codziennie składa raport księciu. Dotąd ubił książę Karol Radziwiłł jednego pięcioletniego byka. Posiadał on łopaty nieoczyszczone jeszcze, co jest w tym czasie zjawiskiem niespotykanem. Strażnicy donieśli o kilku takich egzemplarzach.

Książę ordynat dalej poluje z wabiarzem. Zapewne przybędzie jeszcze nowe trofeum w nagrodę za niespożyte zasługi, położone około dźwignięcia łowiectwa ojczystego na wyżyny, nie osiągnięte dotąd przez nikogo w Polsce.

Dokładną relację z pobytu w ordynacji Dawidgródeckiej zdam Szanownym Czytelnikom w odpowiednim czasie.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

REKORDOWY KOZIOŁ.

Knieja łańcucka ma do zanotowania niepospolite zdarzenie, gdyż dnia 9 sierpnia 1932 r. w leśnictwie Brzyska Wola (pow. Łańcut) legł z ręki ordynata Alfr. hr. Potockiego kozioł o rekordowych parostkach.

Wymiary parostków są następujące:

Wysokość	23.—	cm.
Obwód róż	30.—	„
Obwód tyki ponad różą	12.5	„
Obwód pnia	11.5	„
Wysokość największej perły	1.3	„

Fotografję zamieszczamy na str. 637 niniejszego numeru.

ZNÓW ZBRODNIA.

Nie przebrzmiało jeszcze echo po zamordowaniu przez kłusowników w bestjalski sposób ś. p. gajowego Łubka w lasach państwowych pod Zagożdżonem, a już mamy nowe morderstwo w leśnictwie Miodne, nadleśnictwa Garbatka, gdzie w zdradziecki sposób został zastrzelony z kapiszonówki własnej roboty, nabitej ołowianym siekańcem i loftkami, w dniu 2 września, o godzinie 22, gajowy Piotr Gogacz, mający 40 lat, po którym pozostała bez żadnych środków do życia wdowa z dzieckiem.

Wszczęte natychmiast na miejscu zbrodni dochodzenie dało niezbite dowody rzeczowe, wskazujące na to, że o zbrodnię silnie podejrzanym jest gospodarz wsi Linów (gmina Susko-Wola), Marcin Wziątek, zatrzymany i osadzony w więzieniu.

Wziątek prawdopodobnie odpowiadać będzie przed sądem doraźnym i może wyrok, skazujący mordercę na karę śmierci, powstrzyma zakusy kłusowników i defraudantów leśnych od popełniania morderstw na tle osobistych porachunków z gorliwie pełniącymi służbę gajowymi.

WŁ. ŻARNOWSKI.
Delegat Związku na pow. Radom.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Killynowicz, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.